I któż ci winien, o, polska młodzieży,
Że starsze nasze wiekiem pokolenie
W szczerość obrony twojej nie uwierzy?
Że je ogarniać poczyna zwątpienie,
Gdy spojrzy w waszą działalność przedwczesną,
W onę zgrzybiałość, wiekowi nie w porę;
Niemoc bezduszną, schorzałość cielesną
I serca jadem zatrute — mdłe, chore!
I któż wam winien, że w tej społeczności
Współczucia w całej nie macie Ojczyźnie?
Bo wy, choć dzieci jej ze krwi i kości,
Nie dziedziczycie nic po niej w spuściźnie!
Dla was — głos starszych wołaniem na puszczy;
Wolicie posłuch dać niegodnej zgrai,
Wolicie onej przyklaskiwać tłuszczy,
Co was bezwiednie ciągnie na rozdroża.
Urąga z wiary, przeszłości, zwyczai,
Więc duch w was gaśnie — tchnienie — iskra boża,
Bo kiedy okręt tonie w głębi fali,
My go budujem, naprawiamy skrzętnie;
Oni, zawistni, stronniczy i mali,
Miasto dopomódz, burzą go namiętnie —
I ręka w rękę z dziećmi Izraela,
Chciwemi kruszcu — odwiecznego wroga,
Plwają na godło święte Zbawiciela,
I urągają wszechmości Boga. . .
Ach! Nawet Jego już przeczą istnienia!
Ty polskiej młodzi obrońco, poeto,
Zkądżebyś tyle zaczerpnął natchnienia?
Miłość Ojczyzny jedyną podnietą
Być ci nie może. . . W twojem młodem łonie,
Ogień natchnienia — iskra boża płonie!
Tą iskrą bożą — jest ducha tworzenie.
Tą iskrą bożą — są geniuszów czyny;

Miłość przeczysta, myśl wzniosła, natchnienie —
Poświęceń żądza dla kraju, rodziny,
Bez iskry onej, czemże nasze życie?
Ona dla niego niewygasłym Zniczem;
Kiedy ją z młodu, w zarodzie stłumicie,
Bez niej — na później staniecie się — niczem!
Gdy już nie będzie tego pokolenia,
Co ją po przodkach w dziedzictwie przejęło,
Brak onej *iskry — żaru i płomienia,*
Znicestwi całe kunktatorskie dzieło!
Bez niej dojdziecie ku wrotom *cmentarzy*,
Jak starców rzesza, posępna, schorzała;
Z przelękłym wzrokiem, o wybladłej twarzy,
Trącając stopą samobójców ciała,
Wisielców zwłoki — pastwę kruków chciwych,
Co wyprzedziwszy mistrzów na złej drodze,
Ożywszy, rzucą w was grom słów zelżywych,
Konając, w bólach miotając się srodze,
By wam dać przedsmak onego żywota,
Przed którym przez swe butne zaślepienie
Nadto ochoczo rozwarliście wrota,
Miasto iść z swymi, gdzie każe sumienie.

* * *

Wyście dojrzeli w wieku, w którym starzy
Pozostawiwszy doświadczeńszych straży,
Ster tej Ojczyzny ubóstwianej losu,
Pracy się sami oddawszy w dwójnasób,
Niedostateczny czując nauk zasób,
Pragnęli *posiąść stos wiedzy książkowej,*
Nie bacząc na to: *czy mistrze połowy*
Jego nie znali. Istne sprzeciwieństwo
Z dzisiejszą młodzią, zaślepioną w pysze,
Co wypowiada starszym posłuszeństwo
I ku swym mistrzom nienawiścią dysze.
Pragniecie młodzi, byśmy was pojęli,
Bo — nie pojmować — mówicie, jest grzechem:
A czyż nie wiecie o tem, że jeżeli
Kto się zatrutym zakazi oddechem,
Ten winien pierwej jad stłumić w zarodzie,
Wyssać go z żądłem, oczyścić głąb blizny;
A potem kornie iść ku tym w narodzie,
Co ciężar losów dźwigają Ojczyzny
I rzec: „Ojcowie, zgrzeszyłem niechcący!
Dałem się uwieść, zwyczajnie, jak młody;
Świat tak ponętny, uroczy, nęcący,

A w życiu tylko są same zawody.
Chciałbym pójść z wami, kiedy przyjdzie pora,
Skoro w me serce wstąpił on duch nowy —
I jad go przestał nurtować niezdrowy
I przeciwności zniknęła zapora.
Więc rozgrzeszenia u was dzisiaj proszę,
Bo zmartwychwstania czas przyjdzie niedługo,
Gdy zorza pocznie przyświecać potrosze,
Czerwonolśniącą u poziomu smugą,
Którąście z młodu witali, jak gońca,
Co wieść radosną, upragnioną niesie.
Wtedy ja stanę z wami, jak obrońca
Ujarzmionego naszego narodu:
Bo duch mój martwy już ożył — i rwie się
Łaknąc poświęceń, jako wasz, za młodu!
Wyście ulegli wreszcie pod przemocą,
Już widno była wola Stwórcy taka;
Lecz nas nie sądźcie zbyt surowo; poco
Macie mieć o nas błędne przekonanie?
Nam posłannictwo nieobce Polaka!
Cóż nam po przodkach w spuściznie zostanie,
Gdy się zaprzemy ich świętych idei,
Za które oni walczyli lat tyle,
Życie i mienie oddając w nadziei,
Aby nakoniec cel osiągnąć święty?
A więc — obłędzie, precz! Giń w zapomnieniu!
My łakniem z wami szczytniejszej ponęty,
Nam zaszczytniejsza dola przeznaczona,
Nad walkę skrytą wbrew swemu sumieniu!
Ach! przyciśnijcie nas do swego łona,
Jak kokosz pisklę przygarnia pod skrzydła,
Bo gdy nam przeszłość obmierzła, obrzydła,
Pragniem iść z wami odtąd, ręka w rękę,
Nabytą wiedzę zużytkować godnie,
A na ołtarzu, na wieczną podziękę
Spoczną gasnące przeszłości pochodnie,
I zapalimy je, aż przyjdzie pora,
Aż słońce wzejdzie, promienne, radosne,
Nam upragnioną zwiastujące wiosnę,
U stóp tryumfatora.

A on — nasz wtedy trud pobłogosławi,
Zstąpiwszy z szczytu wyniosłej mogiły;
Za nim iść będą owi męże prawi,
Co póki tylko starczyło im siły,
Nie zrozpaczyli nigdy o przyszłości —
I hymn niebiosów rozerwie oponę,

A z pośród wielkiej nadziemskiej jasności
Zstąpi Bóg — a z Nim Niebieska Królowa
I pocznie prosić Syna o koronę
Tę naszą polską. Na prawa narodów
Zaklinać, na swe życie nieskalane,
Przedstawiać krzywdy przez wrogów zadane;
Z tak wielką siłą błagać, nieprzepartą,
Że się aż Stwórca już nad nią użali,
Złe rozważywszy i dobre z kolei;
A kiedy krzywdy przeważą na szali,
Niby nabrawszy otuchy, nadziei,
Biedne ofiary ludzkiego plemienia,
Jedna po drugiej wzniosłszy się ku górze,
Zabłysną gwiazdką na niebios lazurze,
Żądając pomsty — zadośćuczynienia.

* * *

Wiem ja, że uśmiech wywołam w was młodzi,
Iż na myśl onę — żar mi w piersiach gore!
Do was o Bogu mówić — się nie godzi!
Więc się wyrwałem. . . wybaczcie! Nie w porę.
Wy pamiętacie tylko postać jednę
Matki, co modły zasłała do Boga;
Lecz zwątpiłyście zaraz, dzieci biedne,
Czy *za ciemnością, ciszą, tym łoskotem,*
Gdy o was samych przejęła was trwoga,
Matki błaganie nie będzie nic potem,
Czyli jej modlitw jęk dochodzi Boga.
A głos ten musiał przerazić was wielce,
Iż rozdrażniona wyobraźnia chora,
Posępną chmurą w koło was osiadła,
Miotając wami, jak sznurem wisielce,
Jakby dławionym w nocy przez upiora,
Tłocząc przed oczy trwożliwe widziadła.
Cóż ze starszymi dziać by się powinno,
Co tyle płaczu, skarg, jęków słyszeli?
Krwią swoją ziemię zrosili rodzinną,
Dusznem powietrzem oddychając w celi,
Za życia niby pochowani w grobie;
O chlebie, wodzie, na zgrzebłej pościeli,
Co szli w katorgi ku Sybiru krańcom —
I zrozpaczyli już nieraz o sobie,
Nim blask jutrzenki zabłysnął wygnańcom. . . .

* * *

Mówicie: *taczki są dla was pokutą;*
Tak mówić, chyba przystałoby wrogom,
Którzy praw naszych świętych nie uznają:
Czyż spisek przeciw swej władzy uknuto?
Służyć poczciwie swym ojczystym bogom
I z najezdniczą toczyć walkę zgrają,
Za sprawę świętą, za wolność Ojczyzny,
Nie jest pokuty godne przewinienie,
Nie jestto spisek, zbrodnia karygodna;
A poniesione w szczytnej sprawie blizny,
Chwałą okryły starsze pokolenie
I wysączyły krople z czary do dna.
Jednakże w żyłach tego pokolenia
Choć wiek potemu, krew jeszcze nie skrzepła;
Nie ugasiły bóle i cierpienia
Z lat młodocianych uniesień, zapału,
Tej żądzy czynu wrodzonego ciepła,
Pragnień, zachcianek — mrzonek, ideału!

* * *

Spytacie może: „I czem się to dzieje,
Że ono takie przeszedłszy koleje,
Tak zachowało umysłu swobodę,
Iż dotąd młodsze duchem, niźli młode?“
Ja wam odpowiem przysłowiem narodu:
Że kto do czego przywyknie za młodu,
Tem się odznacza na starość. W tym względzie
Nie oczekując od was odpowiedzi,
Pytam: Czem wasza odznaczać się będzie?
Prawda, że w życiu tem zakordonowem
System prowadzą skrzętnie ogłupienia;
Trzeba się taić z myślą, każdem słowem,
Nawet własnego obawiać się cienia.
Lecz czemu tutaj, gdzie wiedzy świątynie,
Pragną was wrócić krajowi, rodzinie, —
Gdzie wam ojczysta dźwięczy przodków mowa,
Gdzie macie wolność czynu, myśli, słowa,
Wy się odróżnić nie staracie niczem,
Też same na się ściągając zarzuty,
Tem samem oko razicie obliczem
Zarozumienia i przedwczesnej buty.

* * *

Czy pamiętacie owe pierwsze wieki,
Chrystyanizmu szczytne poświęcenia,
Tę zabiegliwość, jak w wnętrzu pasieki,

Dla następnego posiew pokolenia.
Tych świętych, sercem zatopionych w niebie,
Myślą na ziemi żyjących jedynie,
O własnej nawet niepomnych rodzinie,
Dla dobra wiary i Pańskiej winnicy;
Miłości bliźnich z zaparciem się siebie,
Czystej jak serce w niewinnej dziewicy,
Jak wody strumień, płynący z krynicy.
Czy pamiętacie tych ludzi, co z mienia
Tak wyzuwali się sami ochoczo,
Bez najmniejszego samolubstwa cienia,
Wiedzeni siłą instynktu proroczą,
Jakby to złoto, o które dziś wiedzie
Ludzkość zapasy, nie miało wartości;
Jakby dostatek nie urągał biedzie,
Nie wiódł ku szczeblom władzy, pomyślności.
Czy pamiętacie, jak z słodkim uśmiechem
Szli na śmierć, gardząc tą ziemską powłoką,
Jak zalewali cyrk świętą posoką,
Cześć Bogu dając ostatnim oddechem.
Z nich bierzcie przykład, polska nasza młodzi!
Tą drogą idźcie, zdobyć wieńce chwały,
A kiedyś Polski imię się rozrodzi,
Jak chrześcianizmu posiew po świat cały.
Z nich bierzcie przykład nieskalanej cnoty,
Z nich bierzcie przykład wytrwania, pokory,
A nie będziecie mieć więcej ochoty
Świat reformować, znikczemniały, chory,
Który przejść musi rozkład prawidłowy;
Który przejść musi tę chorobę wieku,
Pókąd nie znajdzie skutecznego leku,
Co mu organizm uleczy niezdrowy.
Tą drogą idźcie, mając cel wytknięty,
A nie szukajcie *ogni bez płomieni!*
Bo taki ogień fałszywie pojęty,
Nic nie dokaże, w popiół się zamieni.

* * *

Humanitarne idee ludzkości
Z Chrystyanizmem nie mogąż iść w parze?
O wierzcie, bracia, że dla potomności
Ten chyba więcej z was w życiu dokaże,
Kto nie pogardza przeszłością Ojczyzny,
Etnograficznej nie życzy spuścizny,
Ale ją pragnie mieć w owych granicach
W jakich za przodków jaśniała przed laty,

Jako dziedzictwo spadłe po rodzicach —
I oddać swemu potomstwu bez straty.
Kto idąc śladem Filaretów z Wilna,
Będących wzorem szlachetnej młodzieży,
W ten *bezpłomienny ogień* nie uwierzy,
Ogień bez iskier, płomieni i żarów;
Czując, jak silnych podwalin, rozmiarów
Łaknie ta gmachu przyszłego budowa,
Ta przyszła nasza, świetność narodowa.
Gdyby nie czujność sług sprzedajnych carów,
Byliby wielkich dokonali czynów,
Los pozazdrościł im przyszłych wawrzynów,
Na innem polu nagradzając cnotę —
I nie pozwolił doczekać się chwili,
Aby się one sny spełniły złote,
O których z takim zapałem marzyli.
Oni wiedzieli, że chcąc na lud wpływać,
Trzeba przykładem przyświecać mu własnym,
Być jak meteor świetlanym i jasnym;
Strzedz się na duszy plamy i zhańbienia,
Z przeszłością kraju swojego nie zrywać,
A wychowawszy takie pokolenia,
Krajowi siłę przysporzyć potężną,
Boć tylko naród silny, jednolity,
Może wywalczyć niepodległość własną,
Mający o niej pojęcie, myśl jasną,
A duszę czystą, przezacną i mężną.

* * *

Ty chciałbyś szczęścia, mój wieszczu, na ziemi,
Pragnąłbyś szczęścia dla dzisiejszej młodzi:
A czemże ona zasłużyła sobie,
Żeby zamknięte szczelnie przed drugimi,
Gdy innych ludzi codziennie zawodzi,
Miało w swej własnej zjawić się osobie,
Torować młodym przyszłe drogi życia
I scenę ścieląc różowym kobiercem,
W koło otoczyć zaraz od powicia
Mamoną, szczęściem i sercem?
Ty chciałbyś szczęścia, mój wieszczu, na świecie,
A spytajże się, kędy ono gości?
Szczęście, mój bracie, to kapryśne dziecię!
Czasem nawiedza młodych — i starości
Niekiedy chwilkę uśmiechnie się miłe;
Lecz za tę chwilkę ześle ci trosk tyle,
Pod których jarzmem jak wielbłąd się schylisz;
Że z niemi walcząc, zmęczysz się, wysilisz

I spoczniesz chyba po trudach w mogile.
Szczęście, mój bracie, to jest nić pajęcza,
Co się za lada podmuchem oberwie;
To różnobarwnych kolorów jest tęcza,
Melodya wzniosła, kiedy mistrz jest w werwie.
Szczęście, mój bracie, to bańka mydlana,
Za którą goni ludzi różnych krocie:
Jednym się jawi w postaci miłości,
Drugich — a garstka jest takich wybrana,
Wiedzie w świat chwały, w świat nieśmiertelności;
Innym z kolei płaci haracz w złocie,
Z iście magnackim zapędem hojności.
Innym nakoniec daje dzierżyć władzę,
Tę upragnioną próżności błyskotkę,
Z którą się trudniej, niźli z życiem rozstać,
Nim znowu pierwszą pocznie nucić zwrotkę,
Równie nęcącą wziąwszy na się postać.
Szczęście, mój bracie, nie jest zbyt wybrednem,
Często niegodnych staje się udziałem
I gdy narzuca się bezwstydnie jednym,
Drugich z staraniem omija wytrwałem.
Chociażby byli warci jego względów,
Skąpiąc im złota, zaszczytów, urzędów,
Miłości, zdrowia, co jedno coś warte,
Bo za nie nic się nie stawia na kartę.

Przesadzasz, wieszczu, te wasze cierpienia,
Cierpieć tak wiele nie mieliście czasu!
Spleen was zbyt wcześnie w szyderców zamienia;
Wstydzilibyście się onego kwasu,
Co wam wasz humor młodociany truje
I świadczy tylko o waszej słabości;
Słaby przeciwko losom się buntuje,
Słaby się tylko lęka przeciwności,
Wy przyznajecie się sami bezwstydnie,
Że wam już życie, choć tak krótkie, brzydnie —
I tylko patrzeć, drogi przyjacielu,
Jak za przykładem pójdziecie dziś wielu,
Co sami garną się w wieczności wrota,
By obmierzłego przeciąć nić żywota.

* * *

Lew, co się zrodził i wzrasta w niewoli,
Może przez jakieś przeczucie swobody
Patrzy ponuro i rzadko swywoli;
Żyje, choć tęskni, bo zdrów jest i młody.

Gdy jednak przyjdzie mu w pomoc zdarzenie,
Rozerwie kraty — i pomknie w świat boży;
Już mu zostanie na zawsze wspomnienie,
Już potem klatkę rwie, pieni się, sroży;
Jeść nie chce, rykiem powietrze przeszywa:
Biada pogromcy, gdy nazbyt zuchwały,
Wstąpi do klatki, bo na widok człeka
Wzrok lwa zabłyśnie, najeży się grzywa;
Wnetby ofiarę poszarpał w kawały,
Jeśli wśród strzałów odwrót zbyt odwleka.
Tak to i z ludźmi na świecie się dzieje:
Jednych cios krzepi, drugimi zachwieje.
Ci, co wolności nigdy nie zaznali,
Wprzągnięci w jarzmo, przywykną doń zwolna;
Inaczej z tymi, co ją postradali;
Po krótkich chwilach szalonej rozkoszy,
Dających obraz szczęścia w życiu wierny;
Ich myśl tak łatwo poddać się niezdolna
I bunt podnosi w rozpaczy bezmiernej,
Że wróg się nad nią urąga, panoszy.
Ledwie bujała swobodna i wolna,
Znowu ujęta w karby posłuszeństwa;
Jako lew w klatce szarpie się i miota,
Nie chcąc z nieszczęściem pogodzić się swojem,
Znów do dawnego nawyknąć żywota,
Kęs własny chleba zdobywać przebojem.
Pomyślcie, wiele trzeba było męstwa,
Aby nie zwątpić o wszystkiem na świecie,
Aby nie stracić w sprawiedliwość wiary
I nie rozpaczać jako trwożne dziecię,
Pod ciosem srodze wymierzonej kary.
A jednak starzy — (wtedy jeszcze młodzi),
Wyszli zwycięzko z onej ciężkiej próby,
Gdy okręt tonął w straszliwej powodzi
I dziś go chronią od nowej zaguby.
Więc, przyznasz, wieszczu, że nie bardzo w porę
Porównywujesz pokolenie chore
Z tem, co z nieszczęścia ocalało zdrowo;
Miasto osądzić ich słabość surowo,
Ty ją podnosić chcesz do ideału,
W około siatki snując z pajęczyny,
Szpiegostwa, pokus, łotrostwa, ukazów —
I żółć ulewasz sobie bez przyczyny,
Życie skracając daremnie, wśród szału,
Wśród chorobliwych przywidzeń, obrazów,
Pragnąc młodzieży: bezduszność, brak męstwa,
Wznieść do godności zasługi, męczeństwa,

Skroń jej otoczyć jakąś aureolą,
O której ona i sama nie marzy
I napiętnować smutkiem i niedolą,
Nie bacząc, czy jej w tym stroju do twarzy.

* * *

Wy jęków nawet matek nie słyszeli,
Na świat zrodzeni po fakcie spełnionym;
Ale być może bardzo, że jeżeli
Ich umysł uległ prawom przyrodzonym,
To, w czasach ciągłej żyjąc zawieruchy —
I niepewności o życie i mienie,
Ciało wam dały mdłe, a słabe duchy,
Na onych czasów widno przypomnienie.
Więc was *rycerska śmierć* przejmuje trwogą,
Bo żal wam życia i rozkoszy świata;
Jak z nich się wyrwać, gdy nęcą tak błogo?
Krępować wiarą, co czystość zaleca,
Nieprzyjaciela miłować, jak brata;
Iść powinności nieskalanej drogą,
Co jako gwiazda nad światem przyświeca.
I wobec tego — czyż można dać wiarę,
Że z siebie czynić pragniecie ofiarę,
Że *domowego chcecie strzedz ogniska,*
Wy, których dusza nie wzdrygnie się wcale,
Gdy cudze hańbą plamicie nazwiska,
Gdy cudze gniazdo kalacie zuchwale,
Byle dogodzić swym żądzom, swej chuci:
Nie masz pozoru to urągowiska? . . .

Głos twój, nas, wieszczu, nie obałamuci;
Nas, którzy wiemy, co to poświęcenie,
Abyście mieli starsze pokolenie
Ubiedz *pod wrogów okopami blisko,*
Żeby na święte Ojczyzny ognisko
W noc ciemną, kiedy w sercu gra i śpiewa,
Dorzucić także swoję wiązkę drzewa;
Tam — gdzieś na kresach stać kraju daleko,
Czując, jakoby czarnej trumny wieko,
Ciemność dokoła, co krew w żyłach ścina,
W uszach szum słysząc, niby przypływ fali —
I trwogę w sercu, co śmierć przypomina,
Na widok widma idącego z dali.
Przebóg! to widmo zwolna ku wam kroczy
I napotkawszy na zaporę żywą,
Zatapia, jako tlejące łuczywo,
Ognistym blaskiem lśniące, wielkie oczy.

I przelęknięcie się *żyjątka* drobne,
Nieme posągi i grobowe głazy
I porzucicie *koralowe ławy*
W siłę *kolumny Samsona* zasobne,
Pełzając na dnie, jako nędzne płazy
Zarozumienia — i czczej żądzy sławy,
Nie dokonawszy onej *z wad* poprawy,
Dawnych przesądów i tradycyj dawnych,
Bo zużyjecie się pierwej przed czasem,
Nie przetrawicie w żołądkach niestrawnych
Wad, co splamiły tyle dziejów sławnych;
Bo to, co wielkie, to się nie zaciera,
Bo to, co wielkie, to się nie poplami,
Wraz z posłannictwem ludu nie umiera!
A wart on więcej z dawnemi wadami,
Niż z oną *siłą*, którą mu dać chcecie,
Z niedojrzałymi reformatorami.
Bo choć się, wieszczu, tak zapierasz kwileń,
Kwilisz i jęczysz, jako małe dziecię;
Drugą przywarę mając z dziećmi wspólną,
Że młódź przechwalasz chełpliwie przed czasem;
Te *młode dęby* chcące władać lasem,
Z natarczywością istotnie namolną,
Wciąż przyspieszając hasło beznadziejne,
W swem założeniu wadliwe i chwiejne.

* * *

My się nie skarżym na was, żeście *biali*,
Nad kraju losem bolejemy raczej,
Który się kiedyś w przyszłości użali,
Żeśmy nie strzegli was z młodu inaczej,
Od niecnych wpływów, przykładów trucizny,
Żeśmy powinni jak Mojżesz z Synai
Rzucić w was klątwę imieniem Ojczyzny:
Wyrwać z objęcia tej niegodnej zgrai,
Co zasiew wrogów miasto z was wyplenić,
Do celów swoich chce użyć niegodnie —
I w jad, zgniliznę tę młodzież zamienić,
Która podporą ma Ojczyzny zostać,
By ojcobójczą popełniwszy zbrodnię,
Przemienić przyszłą społeczeństwa postać;
A sami potem na gruzach przeszłości
Podnieść anarchią, godną przyszłej ery
I upamiętnić ją w dziejach ludzkości,
Krwawemi znacząc litery.

Niczem Maraty, niczem Robespierry
Są w porównaniu z oną głodną rzeszą,
Łaknącą złota, znaczenia, zaszczytów;
Gdy sztandar przyszłych idei wywieszą,
Chętnych znalazłszy wśród was prozelitów,
Lecz przyjdzie wreszcie chwila zmiłowania,
Bóg się zlituje, zniknie potwór dziki,
Jak w czasie wieży Babel budowania,
Z pomięszanemi uchodząc języki.
Obraz na ziemi szczęścia się odsłoni,
Cnoty, miłości bliźnich, chwały bożej;
Nikt z cudzej winy już łzy nie uroni,
Z czarnem sumieniem do snu się nie złoży;
Nikt cudzej krzywdy już więcej nie łaknie,
Nikomu w biedzie pomocy nie zbraknie,
Honor odzyszcze szacunek na świecie,
Matka przygarnie chętnie obce dziecię;
Słudzy swym państwu się nie sprzeniewierzą,
Skromność się — praca zbratają z młodzieżą. . .
Ach, czemu, czemu, to tylko marzenie,
Co w rzeczywistość zmienić się nie może?
Ach, czemu człowiek, to arcystworzenie,
Na podobieństwo utworzone boże,
Żywi w swem sercu niecnych żądz uczucie
I nieprzepartych ciemięstw — mordów chucie —
I jad, co truje, niby żądłem żmija
I podstęp zdradny, co zwolna zabija.

* * *

Wybaczcie młodzi, nam zbytnią surowość!
Niepobłażliwe zarzuty i sądy
Do potępienia pochopną gotowość,
Serc doświadczeńszych poglądy! . . .

Darujcie, młodzi, onę krewkość mowy,
Bo ją nam miłość natchnęła gorąca,
Bo nam ów zasiew, co wzrasta, niezdrowy,
Życie zatruwa, zamąca.

Mybyśmy chcieli nie widzieć w was wrogów,
Lecz godnych synów i dźwignię narodu,
Mężnych Herkulów, Tytanów, Półbogów,
Jako praojce zamłodu.

Mybyśmy chcieli widzieć wasze dusze
Czyste, szlachetne i wolne od plamy;
Na własne bóle, męki i katusze,
Odmieńcie się! Zaklinamy.

Mimo, że czasy zmieniły się bardzo,
Choć walka o byt wre z namiętną siłą,
Niech młodzi chlubną przeszłością nie gardzą
I szydzą nad jej mogiłą!

Niech się dla starszych nauczą szacunku,
Patrzą na błędy ich z wyrozumieniem;
Wtedy dotrwają *na swym posterunku*,
Z czystem sumieniem.

Bo dawne nasze przodków obyczaje,
Póki nie skaził ich zły duch Zachodu,
W podziw wprawiały sąsiednie nam kraje
I były dźwignią narodu.

Może niekiedy nieco za surowe,
Stały się gmachu silną podwaliną,
W nich wyrastały pokolenia zdrowe,
Gdy ojce władli rodziną.

Gdy ojciec mówił, syn z miejsca powstawał,
Karcił surowo — syn całował w rękę,
I na kobiercu rozciągnąć się dawał,
Niby dzieciątko maleńkie.

Dzisiejszy młodzian ojca zwie: „mój stary“
I zdanie sobie jego lekceważy,
Bo ojciec wierzy, a syn nie chce wiary —
Bo zacofani ci starzy!

I w tem to główna klęsk onych przyczyna,
Że dawniej ojciec był sternikiem łodzi,
Sam nią kierując i losami syna;
Dziś — wiatr w nią gdzie chce, ugodzi.

Mówią, że idą wraz z postępu wiekiem,
Następstw nie pomnąc, ni jedni, ni drudzy,
Będziemy widzieć w czasie niedalekim:
Lepszy swój zwyczaj, czy cudzy.

Tymczasem, błagam, na Polski zbawienie!
Rozważcie grzechy i błędy minione;
Niechaj odzyszcze, starsze pokolenie,
Dziatki obałamucone.

Wszakże my wszyscy jesteśmy omylni:
Więc się nawrócić — nie hańbą, nie grzechem!
Krzepcie się młodzi, bądźcie dzielni, silni,
Witajcie życie z uśmiechem.

A wtedy kraj was przyciśnie do łona,
Jak ojciec niegdyś marnotrawne dziecię,
Na przeszłość spadnie wieczysta zasłona,
Przyszłością wy się staniecie.

I naprężone dziś węzły rodziny,
Znowu miłości spójnią się ożywią —
I młodzi polskiej chwały godne czyny,
Znękany kraj uszczęśliwią.

Zorza się w słońca przedzierzgnie promienie,
Z długiego śniących uśpienia przebudzi,
Słowo radosne: Zbawienie! Zbawienie!
Rozbrzmiewać pocznie wśród ludzi.

Pasterz losowi poruczy swą trzodę,
Rybak sieć śpiesznie rzuci na mieliznę, —
I wszyscy pójdą odzyskać swobodę,
Z więzów wyzwolić Ojczyznę.

Wtedy przodować będziecie wy — młodzi,
Nad starszych szał was młodości uniesie
I kraj się znowu przekształci, odrodzi,
Gdy zapał w sercach ozwie się.

Boże mój, Boże! Przyśpiesz tę chwilę,
Bo serce drży z upragnienia!
My od powicia cierpieli tyle,
Łakniem wytchnienia.

Boże, mój Boże! Zstąpże raz przecie
I ukaż wszechmocność swoję,
Bo coraz gorsi ludzie na świecie
I niepokoje.

Boże mój, Boże, wróć mej Ojczyzny
Blask dawny, dawne znaczenie!
Wspomóż niedolę, racz zgoić blizny,
Ukój cierpienie!

Ach, błagam, błagam, sercem skruszonem,
Daj przykład sprawiedliwości!
Nie dozwól próżno przed Twoim tronem
Żebrać litości. . . .

Bo nam wolności do szczęścia trzeba,
Nad wszystko, nad chleb powszedni. . .
O, nie odpychaj nas, Ojcze z nieba!
My bardzo biedni!

Coraz przed nami grób się usuwa,
Coraz ktoś z starszych ubędzie;
Trwoga o przyszłość serce zatruwa:
Któż ster posiędzie?

O, nie opuszczaj nas, święty Boże!
Dopłynąć daj do przystani,
Kiedy poranne zabłyśnie zorze,
Z ponad otchłani.

O, nie opuszczaj nas, Ojcze, Panie!
Bo my obrońcy Twej wiary —
I łzę ostatnią na zmartwychwstanie
Zachowaj z czary.

Niech na pamiątkę naszej niedoli
Nad Twą koroną zawiśnie,
W dyament zmieniona, z nią się zespoli,
Ogniem zabłyśnie.